

Autor
bestsellerów
THE
KILLING

DAVID HEWSON

PORA
NA ŚMIERĆ



Upał był ciężki i gęsty. Sara Farnese siedziała przy biurku w czytelni Biblioteki Watykańskiej, patrzyła przez okno na małe prostokątne podwórze i próbowała się skupić. Rozgrzane powietrze sierpniowego popołudnia falowało, zniekształcało obraz i zasnuwało go nierealną mgiełką, bezlitosne słońce przeglądało się w żółtym lustrze wyschniętej trawy. Dochodziła druga. Za godzinę temperatura za szybą dobieje do czterdziestu stopni. Sara miała wyjechać, jak wszyscy. W sierpniu Rzym stawał się pustym piecem wypełnionym szeptami odwodnionych duchów. Na korytarzach uniwersytetu po drugiej stronie miasta echo powtórzyło rano dźwięk jej samotnych kroków. Między innymi dlatego zdecydowała się stamtąd uciec. Połowę sklepów i restauracji zamknęto. Życie uchowało się tylko w parkach i muzeach, gdzie zbłąkane grupy spoconych turystów próbowały znaleźć trochę cienia.

To była najgorsza część lata, ale Sara postanowiła zostać. Wiedziała dlaczego i zastanawiała się, czy to głupie. Z Londynu przyjeżdżał Hugh Fairchild. Przystojny Hugh, mądry Hugh, mężczyzna, który potrafił wyrecytować z pamięci nazwy wszystkich wczesnochrześcijańskich kodeksów w muzeach Europy i prawdopodobnie także wszystkie przeczytał. Jeśli samolot się nie spóźnił, Hugh wylądował na Fiumicinie o dziesiątej i zdążył już zameldować się w swoim apartamencie w hotelu D'Inghilterra. Jest za wcześnie, by zatrzymał się u niej, wiedziała o tym; odpędziła myśl, że w książce adresowej może mieć inne nazwiska, inne kandydatki do łóżka. Był bardzo zajęty. Przyjechał do Rzymu na pięć dni, z czego tylko dwie noce należały do niej, potem leciał na konferencję prawników w Stambule.

Możliwe, myślała, że ma inne kochanki. Nie – bardzo prawdopodobne. W końcu mieszkał w Londynie. Opuścił uniwer-

sytet i zrobił karierę urzędniczą w Unii. Teraz chyba jeden tydzień na cztery spędzał w drodze: Rzym, Nowy Jork, Tokio. Spotykali się najwyżej raz w miesiącu. Miał trzydzieści pięć lat i był niemal zbyt przystojny. Wysoki, muskularny i opalony, z niesforną blond fryzurą i miłą arystokratyczną angielską twarzą gotową w każdej chwili rozjaśnić się uśmiechem. Na pewno sypiał z innymi kobietami, może już na pierwszej randce. Jak – przypomniawszy sobie nie bez lekkiego poczucia winy – z nią, cztery miesiące temu w Amsterdamie, na kongresie o ochronie zabytków.

Nie żeby ją to martwiło. Oboje byli wolni i dorośli. W łóżku okazał się pedantycznie ostrożny. Hugh Fairchild to niezwykle poukładany mężczyzna, który w nieregularnych odstępach czasu pojawia się w jej życiu ku ich obopólnemu zadowoleniu. Dziś wieczorem przespacerują się po moście przy Zamku Świętego Anioła, a potem ulicami *centro storico*. Wstąpią gdzieś na kawę, koło północy dotrą do jej domu. Hugh zostanie na noc, dwa następne dni zajmą mu spotkania. Będzie to, myślała, hojnie odmierzona dawka aktywności intelektualnej, przyjemnego towarzystwa i fizycznego spełnienia. Wystarczająca do szczęścia. Wystarczająca, pojawiła się zbłąkana myśl, by odpędzić wątpliwości.

Siedziała przy mahoniowym biurku pod oknem i próbowała się skupić na bezcennym manuskrypcie. Leżał przed nią pożółkły wolumin niepodobny do tych, które zwykle studiowała w watykańskiej czytelni: sporządzona w X wieku kopia *De re coquinaria*, sławnej książki kucharskiej z czasów imperium rzymskiego, napisanej przez Apicjusza w I wieku naszej ery. Mogłaby przygotować kochankowi prawdziwy rzymski posiłek: *isicia omentata*, czyli kotleciki wołowe z orzeszkami piniowymi, *pullus fuscilis*, faszerowanego kurczaka z ziołami, i *tiropatinam*, omlet z miodem. Wytłumaczyłaby, że jedzą w domu, bo jest sierpień. Wszystkie najlepsze restauracje są zamknięte. Nie próbuje niczego zmieniać w ich

relacji. Chodzi wyłącznie o względy praktyczne, poza tym Sara uwielbia gotować. Zrozumiałaby albo przynajmniej by nie protestowała.

– Apicjusz? – odezwał się ktoś za jej plecami, tak niespodziewanie, że się zdrygnęła.

Odwróciła głowę i zobaczyła Guida Fratellogo uśmiechającego się z typowym dla niego uporem. Nie ucieszyła się na jego widok, ale próbowała odwzajemnić uśmiech. Służył w Gwardii Szwajcarskiej; pojawiał się za każdym razem, kiedy Sara przychodziła. Wiedział – lub się dowiedział – o jej pracy w bibliotece wystarczająco dużo, by móc zagaic rozmowę. Był mniej więcej w jej wieku, zaczynał tyć i trochę za bardzo lubił swój późnośredniowieczny niebieski mundur i czarną skórzaną kaburę. Jako quasi-glina poza Watykanem nie miał żadnej władzy, a i w Watykanie tylko w spokojniejszych rejonach. Plac Świętego Piotra, jedyne, prawdę mówiąc, miejsce, gdzie zwykle potrzebowano interwencji, kontrolowali rzymscy policjanci. Należeli do innego gatunku, w niczym nie przypominali tego cichego, nieco lęklivego indywiduum. Gdyby Guido Fratelli musiał uganiać się za pijakami i ćpunami po dworcu Termini, nie przetrwałby nawet doby.

– Nie słyszałam, jak pan wchodził – powiedziała z nadzieją, że odbierze to jako delikatny wyrzut. W czytelni nie było nikogo oprócz niej. Ceniła sobie ciszę i nie chciała zakłócać jej rozmową.

– Przepraszam. – Poklepał broń przy pasku; irytujący nieświadomy gest. – Musimy umieć poruszać się cicho jak koty. Nigdy nie wiadomo.

– Oczywiście – przytaknęła.

Jeśli dobrze pamiętała, w ciągu ostatnich dwustu lat w Watykanie popełniono trzy morderstwa: w 1988 roku, kiedy zazdrosny kapral zastrzelił nowego dowódcę Gwardii Szwajcarskiej i jego żonę, oraz w 1848, gdy watykański minister sprawiedliwości został zamordowany przez swojego przeciw-

nika politycznego. Skoro tłumami na placu zajmowała się policja miejska, Guido Fratelli mógł się obawiać co najwyżej ambitnych włamywaczy.

– To coś innego niż zwykle? – zapytał.

– Mam różne zainteresowania.

– Ja też.

Spojrzał na manuskrypt. Tom przyszedł w bibliotecznym pudełku z nazwą wypisaną dużymi czarnymi literami na froncie; stąd Guido wiedział, co Sara czyta. Zawsze szukał pretekstu do rozmowy, nieważne, jak byłby wąty. Może wyobrażał sobie, że to rodzaj pracy detektywistycznej.

– Uczę się greki, jak pani wie.

– To po łacinie. Proszę spojrzeć na litery.

Wyglądał na bardzo rozczarowanego.

– Och. Myślałem, że pani zajmuje się greką. Zazwyczaj.

– Zazwyczaj.

Widziała rozpacz na jego twarzy. Nie mogła powstrzymać rozbawienia. Myślał pewnie: „Muszę nauczyć się obu?”.

– Może kiedyś pani oceni, jak sobie radzę?

– Może kiedyś. Ale nie teraz, Guido. Jestem zajęta.

Biurko stało prawym bokiem do wysokiego okna. Odwróciła wzrok, spojrzała na ogród; w szybie zobaczyła długie ciemne odbicie gwardzisty. Guido nie zamierzał łatwo się poddać.

– Okej – powiedział do jej odbicia, odwrócił się i zszedł na dół do głównego wejścia.

Usłyszała śmiech z długiej galerii piętro niżej. Po bibliotece kręcili się turyści; ci, co mieli wystarczająco duże wpływy, by zdobyć przepustkę do tych prywatnych pomieszczeń. Czy zdawali sobie sprawę, jakie mają szczęście? W ciągu ostatnich kilku lat, zarówno ze względu na swoje wykłady o początkach chrześcijaństwa na uniwersytecie, jak i dla własnej przyjemności, Sara spędzała w Bibliotece Watykańskiej coraz więcej czasu i rozkoszowała się zdumiewającym bogactwem jej zbiorów. Dotykała rysunków i wierszy, które wyszły spod ręki Michała

Anioła. Czytała listy miłosne Henryka VIII do Anny Boleyn i podpisany przez niego egzemplarz traktatu *Assertio septem sacramentorum*, który zyskał mu tytuł obrońcy wiary, ale nie zatrzymał go w Kościele.

Z profesjonalnego punktu widzenia główny przedmiot jej zainteresowania stanowiły dawne teksty – bezcenne kodeksy i inkunabuły. Mimo to nie umiała się powstrzymać, by nie rzucić okiem na dzieła powstałe w średniowieczu i później. Przeglądając je, odnosiła wrażenie, jakby Petrarca i Tomasz z Akwinu osobiście do niej mówili. Ich głosy trwały jak martwe echa w suchym welinie i wiekowych plamach atramentu, które zostawili na stronach. Te ślady czyniły ich ludzkimi; i mimo całej swojej mądrości i daru słowa bez człowieczeństwa byliby niczym, choć Hugh Fairchild prawdopodobnie by się z tym nie zgodził.

Przy wejściu rozległ się jakiś hałas, urwany krzyk, niezbyt głośny, ale niepokojący ze względu na okoliczności. W czytelni Biblioteki Watykańskiej nikt nigdy nie krzyczał.

Podniosła głowę i z zaskoczeniem rozpoznała zbliżającą się postać. Szedł energicznie przez smugi ostrego światła wpadającego przez okna, z bezwzględną determinacją, która w tym otoczeniu wydawała się nie na miejscu. Zaszumiała klimatyzacja. Sarę owionęło chłodne powietrze, wzdrygnęła się. Spojrzała jeszcze raz. Stefano Rinaldi, jej kolega z uniwersytetu, kroczył stanowczo przez pustą czytelnię z wielką wypchaną reklamówką. Na jego okrągłej brodatej twarzy malował się wyraz, którego Sara nie potrafiła rozpoznać: gniew albo strach, albo i jedno, i drugie. Ubrany był jak zawsze, ale czarną koszulę i czarne spodnie miał pogniecione i poplamione. Wbił w nią spojrzenie.

Nie wiedzieć czemu poczuła, że boi się tego mężczyzny, którego przecież trochę znała.

– Stefano... – powiedziała cicho, tak cicho, że chyba nie mógł usłyszeć.

Za jego plecami wzbierało zamieszanie, ludzie biegli i machali rękami. Mężczyzna w czerni w prawej dłoni trzymał dziwną wypchaną reklamówkę, a w lewej coś jeszcze dziwniejszego: broń, mały czarny pistolet. Stefano Rinaldi, człowiek, który nigdy się nie złościł, który kiedyś nawet trochę ją pociągał, szedł prosto na Sarę z bronią w ręku, a ona nie potrafiła wyobrazić sobie żadnego wytłumaczenia, żadnej mogącej to wyjaśnić sekwencji zdarzeń.

Sięgnęła w bok, złapała krawędź biurka i zaczęła je odwracać. Stare drewno zapiszczało na marmurowej podłodze jak cierpiące zwierzę. Ciągnęła, aż jej plecy zatrzymały się na szybie, a krawędź blatu dotknęła jej piersi; siedziała teraz zasłonięta biurkiem, jakby wierzyła, że musi tu zostać i stawić czoła Stefanowi i że przedpotopowy mebel ze średniowieczną kopią rzymskiej książki kucharskiej i laptopem stanowi ochronę przed zbliżającym się niezrozumiałym zagrożeniem.

Potem, szybciej niż się spodziewała, już tam był, dyszał jej nad głową, a jego ciemnobrązowe oczy lśniły szaleństwem wyraźniej niż kiedykolwiek.

Usiadł na krześle naprzeciwko i spojrzał na nią badawczo. Sara poczuła, że trochę rozluźniają jej się mięśnie. Już się nie bała. Nie przyszedł po to, by ją skrzywdzić. Miała co do tego absolutną pewność, której nie potrafiła wyjaśnić.

– Stefano... – powtórzyła.

Za jego plecami zbierali się ludzie. Dostrzegła wśród nich Guida Fratello. Czy Guido umie strzelać? – pomyślała. Czy może się tak niefortunnie złożyć, że Sara zginie dziś od zbłąkanej kuli niedoświadczonego gwardzisty celującego drżącą ręką w jej byłego kochanka, który z jakiegoś powodu oszalał w najszacowniejszej bibliotece Rzymu?

Lewą dłonią, tą, w której trzymał broń, Stefano zmiótł z biurka wszystko, co na nim leżało. Bezcenny tom Apicjusza i jej drogi laptop spadły z łoskotem na marmurową posadzkę.

Milczała, czekała; jego spojrzenie zdawało się mówić, że właśnie tego od niej oczekuje.

Unióś reklamówkę nad biurkiem, odwrócił do góry dnem i pozwolił, by jej zawartość wypadła na blat, a potem rozkazującym, na wpół szalonym, na wpół martwym głosem powiedział donośnie:

– Krew męczenników jest nasieniem Kościoła!

Spojrzała. To, co wypadło na stół, miało konsystencję wilgotnego świeżego welinu, jakby właśnie wypłukanego. Apicjusz pisał na czymś bardzo podobnym, tyle że suchym.

Nie wypuszczając pistoletu, Stefano zaczął rozwijać przed nią tę elastyczną rzecz i rozciągał ją, aż zakryła cały mahoniowy blat, zwiesiła się przez krawędzie i przyjęła kształt znajomy, ale w tym kontekście obcy.

Sara powstrzymała się od zamknięcia oczu i zmusiła do skupienia się na tym, co widzi. Przedmiot, który Stefano Rinaldi ostrożnie wygładzał otwartą dłonią jak obrus na sprzedaż, był ludzką skórą; jasną, lekko opaloną skórą, mokrą, jakby ją niedawno umyło. Odcięto ją nierówno przy szyi, genitaliach, nadgarstkach i kostkach, ostatnie cięcia przeszły po kręgosłupie i tyłach nóg, i zdjęto w jednym kawałku. Sara musiała zwalczyć chęć dotknięcia tego czegoś, żeby się upewnić, że to nie sen, żeby po prostu wiedzieć.

– Czego chcesz? – zapytała najspokojniej, jak umiała.

Brązowe oczy spojrzały na nią, a potem się odwróciły. Stefano bał się tego, co robi, wyczuwała w nim przerażenie, ale też determinację. Był inteligentnym mężczyzną, nie upartym, po prostu skupionym na swojej pracy, czyli, teraz sobie przypominała, przede wszystkim na Tertulianie, wczesnochrześcijańskim teologu i polemście, którego słynne twierdzenie właśnie zacytował.

– Kim są męczennicy, Stefano? – zapytała. – Co to znaczy?

W tej chwili był przy zdrowych zmysłach. Widziała to wyraźnie w jego oczach, stały się spokojne. Myślał, zastanawiał się nad rozwiązaniem.

Nachylił się ku niej.

– Ona wciąż tam jest, Saro – powiedział ze znajomą nikoty-
nową chrypką, ale bardzo cicho, jakby nie chciał, żeby usłyszał
go ktokolwiek inny. – Musisz iść. Spójrz na to. – Wpatrywał
się w skórę na stole. – Nie odważyłbym się... – Na jego twa-
rzy malowało się przerażenie, które w tych okolicznościach
wyglądało groteskowo. – Pomyśl o Bartłomieju. Musisz
wiedzieć.

Potem, dużo głośniej i znowu tym szalonym głosem, po-
wtórzyl słowa Tertuliana:

– Krew męczenników jest nasieniem Kościoła.

I z wyrazem zagubienia w poczerniałych nagle oczach pod-
niósł pistolet i wycelował krótką wąską lufę w jej twarz.

– Na ziemię! – krzyknął gwardzista. – Na ziemię!

Guido był idiotą. Sara instynktownie to wyczuwała; wie-
działa, że nie mógł odebrać i zrozumieć tej sceny tak jak ona.

– Nie! – krzyknęła do obu mężczyzn, unosząc dłoń, i ku
swojemu przerażeniu znowu zobaczyła wycelowany w nią
pistolet; teraz mierzył wyżej. – Wy obaj! Przestańcie!

Guido krzyknął, w jego głosie słychać było strach i gniew.
Nie panował nad sobą. Stefano wpatrywał się w nią ponurymi,
pustymi oczami. Jego spojrzenie miało w sobie tyle śmiertel-
nego fatalizmu, że zrobiło jej się zimno.

– Pospiesz się – wyszeptał bezgłośnie.

– Nie róbcie tego – jęknęła, choć wiedziała, że to nic nie da.

Guido strzelił. Pomieszczenie wypełniło się dźwiękiem,
który boleśnie eksplodował w jej uszach. Czaszka Stefana
Rinaldiego pękła, krew i tkanki trysnęły wściekłym strumie-
niem. Guido nie miał odwagi dotknąć leżącego na podłodze
ciała; tańczył wokół niego, a broń podskakiwała w jego dłoni,
jakby żyła własnym życiem.

Sara opuściła powieki i wsłuchiwała się w wystrzały, w świst
kul przelatujących przez czytelnię, cichą czytelnię, mieszczącą
w sobie tyle wspaniałości, które pokochała.

Potem otworzyła oczy. Stefano leżał nieruchomo na po-
dłodze. Jeden z ochroniarzy stał nieopodal, krzywił się i trzy-
mał za brzuch, jak gdyby bał się tego, co może się z niego
wyslizgnąć.

Patrzyła na Stefana. Leżał na podłodze, z głową opartą na
średniowiecznej kopii Apicjusza, a jego gęsta czarna krew pla-
miła jej strony.

Stali w cieniu kolumnady na placu Świętego Piotra. Luca Rossi zastanawiał się, czy słońce zdążyło już spalić jego łusą głowę. Wczorajsza pizza i piwo przewalały mu się w żołądku jak kamienie. Na domiar złego dziś rano przydzielili mu tego dzieciaka na następne cztery tygodnie. Był to rodzaj kary, dla młodego też, tak przypuszczał. Obaj nie pasowali do rzymskiej policji, choć z zupełnie różnych przyczyn. W jego przypadku chodziło o powody konkretne, oczywiste i zrozumiałe. Chłopak po prostu wyglądał nie tak, i kropka. I nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Rossi spojrzął na swojego partnera i stęknął.

– No dobra. Wiem, chcesz, żebym poprosił. Pokaż mi tę sztuczkę.

Nico Costa uśmiechnął się, a Luca pomyślał, że lepiej było, gdyby nie wyglądał tak młodo. Czasem na tym świętym placu trzeba aresztować niebezpiecznych typów. Ciekawe, jak wtedy poradzi sobie ten szczupły, dzieciennie wyglądający za wodnik.

– To nie sztuczka.

Nigdy ze sobą nie pracowali. Byli z różnych komisariatów. Rossi podejrzewał, że dzieciak nie wie, dlaczego jego nowym partnerem został dziwny stary glina z nadwagą. Nie pytał. Chyba po prostu przyjął to do wiadomości, jak wszystko inne. Luca trochę o nim wiedział. Wszyscy wiedzieli. Gliniarze nie do końca mu ufali. Nie pił zbyt dużo. Nie jadł mięsa. Dbał o zdrowie i podobno nieźle biegał maratony. I był synem tego pieprzonego komucha, o którym ciągle pisano w gazetach i po którym odziedziczył bardzo dziwny nawyk. Miał świra na punkcie malarstwa, a konkretnie jednego malarza. Wiedział wszystko o wszystkich obrazach Caravaggia w Rzymie.

– Dla mnie sztuczka.

– To wiedza – odparł Costa i przez chwilę prawie wyglądał na swój wiek, czyli, z tego, co wiedział Rossi, na dwadzieścia siedem lat. Może, pomyślał, młody jednak coś w sobie ma. – Żadnej iluzji, stary. To prawda, magia.

– No to pokaż mi trochę magii. Tutaj – skinął głową w stronę murów Watykanu – muszą mieć tego pełno.

– Nie, tylko jednego. *Zdjęcie z krzyża*. I zabrali go z pierwotnego miejsca. Watykanowi nigdy nie zależało na Caravaggiu. Uważali, że jest zbyt rewolucyjny, zbyt blisko biedaków. Postaci na jego obrazach mają brudne stopy, a jego apostołowie wyglądają jak zwykli ludzie, których można spotkać na ulicy.

– Więc za to go lubisz? Pewnie masz to po starym.

– Między innymi za to. Ja to ja, a mój ojciec to mój ojciec.

– Jasne. – Rossi przypomniał sobie ojca Costy. Zawsze sprawiał kłopoty. Był bezkompromisowy i nigdy nie brał łapówek; naprawdę dziwny polityk. – Więc gdzie?

Dzieciak wskazał w stronę rzeki.

– Sześć minut stąd. Kościół Świętego Augustyna. *Madonna Loretańska* albo *Madonna pielgrzymów*, obie nazwy są prawidłowe.

– Dobry jest?

– Mają naprawdę brudne stopy. Watykan go nie cierpiał. Wspaniały kawałek malarstwa, chociaż znam jeszcze lepsze.

– Nie interesujesz się pewnie piłką nożną, co? – zapytał Luca po namyśle. – Mielibyśmy więcej tematów do rozmowy.

Costa nie odpowiedział. Wyjął skaner radiowy i podłączył słuchawki. Rossi pociągnął nosem.

– Czujesz te ścieki? – mruknął. – Wydali tyle kasy na budowę największego kościoła na świecie. Tuż obok mieszka papież. A śmierdzi jak w ciemnym zaułku na Zatybrzu. Może siekają tam trupy i spuszczają w kiblu albo coś. I tak się nie dowiemy.

Młody gmerał przy cholernym skanerze. To powinno być zabronione, obaj o tym wiedzieli.

– Hej – warknął. – Wydaje ci się, że tylko ty się nudzisz? Jeśli Falcone się dowie, że się tym bawiłeś, skopie ci tyłek.

Costa wzruszył szczupłymi ramionami i uśmiechnął się.

– Próbowałem znaleźć dla ciebie coś o piłce nożnej. W czym problem?

Rossi podniósł swoje wielkie dłonie i parsknął śmiechem.

– Okej. Tu mnie masz.

Patrzyli na przeredzony tłum snujący się po placu w obezwładniającym upale. Jest za gorąco na kieszonkowców, pomyślał Luca. Pogoda skuteczniej zmniejsza przestępczość, niż potrafiliby dwaj gliniarze. Nie mógł mieć młodemu za złe zabaw ze skanerem. Żaden z nich nie lubił, kiedy mu przypomniano, że istnieją w mieście takie miejsca, gdzie nie są mile widziani. Może Costa ma w genach coś antyklerykalnego, choćby nie wiedzieć jak często powtarzał, że w przeciwieństwie do ojca jest apolityczny. A Watykan jest częścią miasta, niezależnie od tego, co mówią politycy. To nie do pomyślenia, że jakiś mały sukinsyn mógłby na ich oczach ukraść torebkę, zniknąć w tłumie łączącym bez celu po bazylice Świętego Piotra – na terytorium Gwardii Szwajcarskiej w śmiesznych niebieskich mundurach i podkolanówkach – i stać się nietykalny.

Costa nie usłyszy na tym kieszonkowym skanerku niczego ważnego. W Watykanie za mało się dzieje. Ale słuchanie było samo w sobie formą protestu. Mówiło: „Jesteśmy tu”.

Rossi spojrział na wężyk czarnych zakonnic prowadzonych przez kobietę z małą czerwoną chorągiewką na patyku. Zerknął na zegarek. Żałował, że wskazówki nie poruszają się szybciej.

– Wystarczy – oznajmił, ale Nico położył mu dłoń na ramieniu. Nagle spoważniał. W skupieniu słuchał pisków i trzasków ze skanera.

– Zastrzelono kogoś – powiedział. – W czytelnicy biblioteki. Wiesz, gdzie to jest?

– Oczywiście – odparł stary i skinął głową. – W Mongolii, jeśli o nas chodzi.

Costa spojrział na niego błagalnie swoimi przenikliwymi brązowymi oczami.

– Zastrzelono kogoś. Nie będziemy tu stać, prawda?

Rossi westchnął.

– Powtarzaj za mną: Watykan to inny kraj. Falcone może ci to wyjaśnić dokładniej, jeśli chcesz.

Falcone rzeczywiście mógł to wyjaśnić bardzo dokładnie, pomyślał Luca. Nie chciał sobie nawet wyobrażać, jak miałyby wyglądać taka rozmowa. Bardzo się cieszył, że ostatnich pięć lat spędził poza zasięgiem Falconego. Żałował, że nie więcej.

– Jasne – zgodził się Costa. – Ale to nie znaczy, że nie możemy rzucić okiem. Nigdy nie mówili, że nie wolno nam tam wchodzić. Powiedzieli tylko, że nie możemy tam nikogo aresztować.

Rossi zastanowił się nad tym. Dzieciak miał rację, do pewnego stopnia.

– To wszystko, co słyszałeś? Zastrzelono kogoś?

– Nie wystarczy? Chcesz wrócić i powiedzieć Falconemu, że nawet nie zaproponowaliśmy pomocy?

Luca poprawił kaburę pod kurtką, Nico zrobił to samo. Spojrzeli w stronę wejścia na prywatne tereny przy via di Porta Angelica. Gwardziści, którzy zwykle stali tu, by sprawdzać dokumenty gości, zniknęli, zapewne wezwani do wypadku. Dwóch rzymskich gliniarzy mogło wejść nieniekajonych żadnymi pytaniami. To wyglądało jak zaproszenie.

– Nie biegnę – burknął Rossi. – Nie w tym upale.

– Jak chcesz – odpowiedział Costa i puścił się biegiem przez plac w stronę otwartej bramy.

– Dzieciaki... – stęknął Luca Rossi i pokręcił głową.

ROBERTO ADAM ERITANNO
ARCHITECTURAE CVLTORI
ICHOGRAPHIAM
CAMPI MARTII
ANTIOVAE VR BE
IOANNES BAPTISTA PIRANESI
IN SVARIONE ARGVMENTVM
D-D-D

Rzym, upalne lato. Sara Farnese czyta starożytną książkę kucharską w Bibliotece Watykańskiej. Nagle podchodzi do niej mężczyzna i z wypchanej reklamówki wyjmuje skórę. Ludzką. Krzyczy: „Krew męczenników jest nasieniem Kościoła” – i ginie od kuli strażnika.

Wkrótce pojawiają się kolejne ofiary. Morderca odtwarza makabryczne okoliczności śmierci wczesnochrześcijańskich męczenników.

Sprawą zajmuje się dwóch rzymskich policjantów – podstarzały, zgorzkniały, myślący już o emeryturze Luca Rossi i Nico Costa, syn włoskiego komunisty, znawca Caravaggia, wegetarianin i biegacz, który nie wygląda na swoje dwadzieścia siedem lat. Starają się odkryć, co łączy tajemniczą Sarę z morderstwami. Nie wiedzą jednak, jak wielkie podejmują ryzyko.

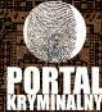
Pierwszy tom serii kryminalów z detektywem Costą.



cenę 37,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

www.portal-kryminalny.pl



BOOKLIPS.PL IIII